

Polska po wyborach samorządowych 2002

Jerzy J. Wiatr*

Po 1989 roku tak się ułożyła praktyka polityczna w Polsce, że wybory samorządowe odbywają się w rok po wyborach parlamentarnych, co pozwala na ujrzenie w ich świetle, czy i jak zmienia się układ sił politycznych po rocznej kadencji Sejmu i Senatu, a zwłaszcza po rocznym urzędowaniu nowego rządu. Jedynie po wcześniejszych wyborach parlamentarnych przeprowadzonych w październiku 1991 roku nie miały miejsca nowe wybory samorządowe.

Dotychczas regułą było to, że wybory samorządowe potwierdzały utrzymywanie się takiego układu sił politycznych, jaki wyłonił się rok wcześniej w wyborach parlamentarnych. Wiosną 1990 roku wybory samorządowe wygrały komitety obywatelskie stworzone z inspiracji NSZZ "Solidarność", który był wielkim wygranym wyborów czerwcowych 1989 roku. Jesienią 1994 roku w wyborach samorządowych największy sukces odniosły dwa zwycięskie ugrupowania z wyborów parlamentarnych 1993 roku: Sojusz Lewicy Demokratycznej (w miastach) i Polskie Stronnictwo Ludowe (na wsi). W 1998 roku, gdy po raz pierwszy wybierano nie tylko rady gmin, ale także rady powiatowe i sejmiki wojewódzkie, zwycięzcami były dwie najsilniejsze formacje ówczesnego Sejmu: Akcja Wyborcza Solidarność i Sojusz Lewicy Demokratycznej, za nimi zaś uplasowały się Polskie Stronnictwo Ludowe i Unia Wolności - dwie średniej wielkości partie ówczesnego parlamentu. Sejmiki wojewódzkie podzielone zostały po połowie: w ośmiu rządziła AWS (sama lub w koalicji z UW), a w ośmiu - SLD (w koalicji z PSL). Pod tym względem wybory 2002 roku nie były typowe. Wprawdzie koalicja Sojusz Lewicy Demokratycznej i Unii Pracy utrzymała pierwsze miejsce, ale z dużą stratą głosów w porównaniu z jej wynikiem w wyborach parlamentarnych poprzedniego roku. Wśród pozostałych partii zaszły poważne zmiany, polegające zwłaszcza na wzmocnieniu ugrupowań skrajnych - Samoobrony i Ligi Polskich Rodzin.

Tegoroczne wybory samorządowe zasługują na szczególną uwagę z trzech powodów. Po pierwsze: były to pierwsze wybory po pełnej kadencji władz samorządowych działających w warunkach reformy 1998 roku. Pozwalają one zobaczyć, jak funkcjonujące w warunkach tej reformy władze samorządowe zostały ocenione przez wyborców. Po drugie - wprowadzony w tym roku nowy system bezpośrednich wyborów wójtów, burmistrzów i prezydentów miast poddany został pierwszej próbie. Po trzecie wreszcie - wybory odbywające się po roku działania rządu koalicji SLD, UP i PSL stanowiły - zwłaszcza w ich najbardziej partyjnej części, jaką były wybory do sejmików wojewódzkich - okazję do oceny politycznego układu sił w Polsce dzisiejszej.

To, że reforma samorządowa (podobnie, jak pozostałe trzy główne reformy rządu Jerzego Buzka) została na ogół negatywnie oceniona przez większość obywateli naszego kraju znane było od dawna, między innymi z sondaży opinii społecznej. Przeprowadzone przez Centrum Badania Opinii Społecznej sondaże pokazały to zjawisko w sposób nie budzący wątpliwości. W czerwcu 2000 roku 23% badanych uważało, że po reformie władze samorządowe gmin i powiatów funkcjonowały gorzej niż przed reformą, 20% sądziło, że funkcjonowały one lepiej, a 31% - że ani lepiej, ani gorzej (22% nie miało zdania w tej sprawie). Kolejne sondaże wskazywały na

* Autor jest profesorem w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego.

pogarszanie się opinii o reformie. W lipcu 2001 roku już 32% badanych uważało, że władze samorządowe funkcjonują gorzej niż przed reformą, a procent sądzących, że funkcjonują one lepiej nie zmienił się. Reforma samorządowa oceniona została natomiast pozytywnie przez badanych w czerwcu 2001 roku działaczy samorządowych gmin, powiatów i województw¹. Wybory pokazały jednak, że ocena władz samorządowych w pierwszym rządzie kształtowała się w oparciu o osiągnięcia lub porażki tych władz z którymi wyborcy mieli do czynienia, nie zaś jedynie jako reakcja na negatywną ocenę reformy. Dlatego obok miejscowości, gdzie dotychczasowe władze samorządowe osiągały imponujące sukcesy, były takie, w których wyborcy odrzucali dotychczasowych włodarzy terenu. Tych ostatnich było jednak więcej. W stolicy rządzące dotychczas w koalicji Platforma Obywatelska i Sojusz Lewicy Demokratycznej przegrały wybory, przy czym PO znacznie bardziej niż SLD. Lech Kaczyński i jego partia Prawo i Sprawiedliwość odnieśli sukces między innymi prowadząc negatywną w stosunku do poprzednich władz kampanię. Przegrali wybory dotychczasowi prezydenci Bydgoszczy, Łodzi, Szczecina i Zielonej Góry (wszyscy z SLD). Ale gdzie indziej bywało inaczej. W Gorzowie Wielkopolskim dotychczasowy SLD-owski prezydent Tadeusz Jędrzejczak zapewnił sobie wybór już w pierwszej turze, a koalicja SLD-UP zdobyła absolutną większość w radzie miasta. Prawicowi prezydenci wygrali m.in. w Katowicach, Gdańsku, Lublinie i Poznaniu. W skali kraju uderzające było jednak to, że tak wielu burmistrzów i prezydentów miast albo nie kandydowało, albo nie uzyskało reelekcji. Potwierdza to istnienie negatywnej oceny dotychczasowych władz - zwłaszcza w większych miastach. W mniejszych miastach i gminach wiejskich było lepiej, ale także bardzo rozmaicie. Można wyciągnąć stąd wniosek, że o ocenie dotychczasowych władz samorządowych w większym stopniu decydowały wyniki ich działań niż stosunek obywateli do reformy.

Bezpośredni system wyboru wójtów burmistrzów i prezydentów miast nie dał, na co liczyli autorzy reformy, istotnego wzrostu zainteresowania wyborami - w każdym razie nie przyniósł wzrostu frekwencji wyborczej. Była ona, co jest już w Polsce złą tradycją, niska. W pierwszej turze wyborów wzięło udział 44,33% uprawnionych do głosowania, to jest o dwa punkty procentowe mniej niż cztery lata wcześniej w wyborach sejmików wojewódzkich i o dwa punkty procentowe mniej niż w ostatnich wyborach sejmowych. W drugiej turze frekwencja była jeszcze niższa i wyniosła 35,02%. W tym roku frekwencja w wyborach do sejmików i w wyborach wójtów była niemal identyczna - stosunkowo niska. Sugeruje to także brak wpływu bezpośrednich wyborów na zainteresowanie głosowaniem i gotowość wzięcia w nim udziału. Padają, tradycyjne już u nas, wyjaśnienia², że jest to konsekwencją mniejszej niż w innych krajach naszego regionu stabilizacji instytucji demokratycznych. Możliwe jednak jest inne wyjaśnienie. W Polsce ukształtowało się - jeszcze w końcowej fazie poprzedniego systemu - przeświadczenie, że nie głosując dajemy wyraz dezaprobach politycznej wobec rządzących. Ta dezaproba jest silna, o czym od dawna informują sondaże. Być może więc ponad połowa wyborców zostając w domu demonstrowała swą negatywną ocenę sytuacji politycznej, a zwłaszcza gospodarczej w kraju. Za taką interpretacją przemawia też fakt, że spadkowi poparcia dla koalicji SLD-UP nie towarzyszył przyrost poparcia dla prawicowej opozycji. Zapewne jakaś część tradycyjnych wyborców lewicy nie wzięła udziału w głosowaniu, by posłać sygnał rządowi, że czuje się rozczarowana sytuacją kraju i polityką lewicowego rządu. Gdyby tak było, niska frekwencja nie musiałaby być dowodem potwierdzającym tezę o niesprawdzaniu się systemu wyborów bezpośrednich.

¹ *Władza lokalna po reformie samorządowej*, pod red. Jerzego J. Wiatra, Warszawa: Wydawnictwo Naukowe Scholar 2002, ss. 23-27.

² Np. Lena Kolarska-Bobińska w «Gazecie Wyborczej» z 2-3 listopada 2002.

Wybory samorządowe w Polsce stały się bardzo skomplikowane z uwagi na to, że wybierano dziesiątki tysięcy radnych oraz ponad dwa i pół tysiąca wójtów, burmistrzów i prezydentów miast.

W gminach (których było 2478) wybierano łącznie 38 233 radnych i 2478 wójtów lub burmistrzów. W 315 powiatach wybierano 5296 radnych, a w 65 powiatach grodzkich (to jest miastach na prawach powiatu) 1745 radnych i 65 prezydentów miast. W 16 województwach wybierano łącznie 561 radnych do sejmików, przy czym liczebność sejmików wahała się w zależności od liczby mieszkańców.

Wybory odbywały się według trzech ordynacji. W gminach do 20 tysięcy mieszkańców radni wybierani byli w jednomandatowych okręgach według większościowej ordynacji opartej na zwykłej większości. W pozostałych gminach, powiatach i województwach radni wybierani byli w systemie proporcjonalnym, to jest w wielomandatowych okręgach z głosowaniem na listy kandydatów przedstawione przez partie lub komitety wyborców; podział mandatów odbywał się według korzystnego dla większych ugrupowań systemu d'Hondta. Wójtowie, burmistrzowie i prezydenci miast wybierani byli w systemie większościowym opartym na bezwzględnej większości, a więc z drugą turą, jeśli w pierwszej żaden kandydat nie uzyskał ponad połowy głosów.

W nieco ponad połowie gmin (1272) niepotrzebna okazała się druga tura wyborów, gdyż jeden z kandydatów zapewnił sobie zwycięstwo już w pierwszej. Były wśród tych gmin większe miasta - np.: Gorzów Wielkopolski, Katowice, Koszalin, Opole - ale zjawisko to wystąpiło przede wszystkim w gminach wiejskich. W gminach małych (do 20 tysięcy mieszkańców) w pierwszej turze wybrano 1200 wójtów, w gminach większych - 63, a w miastach na prawach powiatu - 9. Wśród wybranych w pierwszej turze było 220 kandydatów PSL, 91 kandydatów koalicji SLD-UP, 5 kandydatów Samoobrony i 2 kandydatów LPR; reszta to kandydaci nie identyfikujący się z którąkolwiek partią. Druga tura niewiele zmieniła, gdy idzie o polityczną tożsamość nowo wybranych gospodarzy gmin i miast. Wśród wójtów najczęściej było ludzi wysuniętych przez PSL (275), na drugim zaś miejscu byli ludzie wysunięci przez SLD-UP (105). Pozostałe partie nie odniosły tu sukcesów (Samoobrona 15, LPR 5). Kandydatami lokalnych komitetów było 1196 nowych wójtów. W miastach natomiast na pierwsze miejsce wysunęła się koalicja SLD-UP zdobywając 96 stanowisk burmistrzów (PSL zdobyło 58 tych stanowisk, inne partie zaledwie kilka). 611 burmistrzów kandydowało z ramienia lokalnych komitetów, ale często za nimi kryją się działacze prawicowi. Wśród prezydentów miast lewica zdobyła 26 stanowisk, ale w przeważającej większości są to miasta średnie. W stolicach województw wygrywali natomiast kandydaci wysunięci przez partie centroprawicowe; wyjątkami były tylko Kraków, Olsztyn i Rzeszów, gdzie prezydentami zostali kandydaci popierani przez koalicję SLD i UP.

Wybór tak wielu wójtów, burmistrzów i prezydentów już w pierwszej turze przemawia raczej na korzyść nowego systemu wyborczego, ale ostatecznym testem będzie to, jak układać się będzie współpraca samorządowych władz wykonawczych z radami. Tu konieczne wydają się zmiany w ustawie o samorządzie gminnym, gdyż obecny stan prawny jest niedopasowany do systemu wyborów bezpośrednich. Wójt, burmistrz i prezydent, skoro zostali wybrani bezpośrednio przez wyborców, powinni mieć zapewnioną silniejszą pozycję wobec rady.

Najciekawszy jest jednak polityczny wynik wyborów. Można go ocenić przede wszystkim przez pryzmat wyborów sejmików wojewódzkich a także prezydentów i rad wielkich miast, gdyż tam wybory miały znacznie bardziej partyjny charakter niż wybory powiatowe czy wybory w mniejszych miastach lub w gminach wiejskich. Raz jeszcze potwierdziła się, od dawna rejestrowana przez socjologów polityki, geografia

polityczna. Lewica okazała się silniejsza w mniejszych miastach i na wsi niż w dużych miastach, gdzie prawica ma poparcie większe niż w skali całego kraju. To odzwierciedla przede wszystkim wpływ dwóch okoliczności. Po pierwsze: sytuacja społeczno gospodarcza w dużych miastach jest na ogół lepsza niż w małych, a zwłaszcza na wsi. Więcej jest ludzi zadowolonych z efektów transformacji, a więc skłonnych do głosowania na partie prawicy. Po drugie: istnieje wciąż pamięć czasów, gdy wielkie miasta były głównym terenem działań "solidarnościowej" opozycji, co przełożyło się to na trwałe poparcie dla partii prawicowych. Gdańsk jest tego zjawiska doskonałym przykładem.

Drugą cechą geografii politycznej jest to, że lewica ma silniejsze poparcie w Polsce zachodniej i północnej (poza województwem pomorskim), a prawica w Polsce południowej i wschodniej. Tak było i tym razem.

Koalicja SLD i UP wygrała wybory do sejmików zdobywając najwięcej mandatów - łącznie 189, co stanowiło 33.68% wszystkich mandatów. Sukces ten jest w pewnej mierze wynikiem przyjętego (jeszcze przez poprzedni Sejm) systemu d'Hondta, gdyż odsetek głosów uzyskanych przez koalicję wyniósł 24.5% i był znacząco niższy niż w poprzednich wyborach do sejmików wojewódzkich i niższy o około 15 % od wyników koalicji SLD-UP w wyborach sejmowych 2001 roku. Potwierdziła więc lewicowa koalicja, że jest najsilniejszym ugrupowaniem dzisiejszej Polski, ale otrzymała od wyborców czytelny sygnał, że poparcie dla niej zmalało. Występujące w większości województw w koalicji Platforma Obywatelska RP i Prawo i Sprawiedliwość zdobyły 94 mandaty i 16.5% głosów. Jest to wynik znacznie gorszy niż ten, który w 1998 roku w wyborach samorządowych uzyskała AWS i nieco gorszy niż uzyskany przez te dwie partie w wyborach sejmowych 2001 roku. Dla prawicowej opozycji jest to więc również sygnał, że jej dotychczasowa polityka nie zyskuje poparcia. Nie zdołała odzyskać liczącego się miejsca Unia Wolności, której schodzenie ze sceny politycznej wydaje się po tych wyborach przesądzone. Polskie Stronnictwo Ludowe zdobyło w sejmikach wojewódzkich 58 mandatów (i 11 procent głosów), co sugeruje ustabilizowanie się pozycji tej partii na niezbyt silnej pozycji. Znacznie lepiej wypadli kandydaci PSL w gminach wiejskich i w radach powiatowych, gdzie usytuowali się na drugim miejscu (po koalicji SLD-UP) pod względem liczby zdobytych mandatów radnych; trzeba jednak pamiętać, że trzy czwarte radnych gminnych to kandydaci niezależni lub kandydaci lokalnych komitetów.

Prawdziwymi wygranymi wyborów do sejmików wojewódzkich są dwie radykalne partie populistyczne: Samoobrona i Liga Polskich Rodzin. Samoobrona zdobyła w sejmikach 101 mandatów i 16% głosów, a LPR 92 mandaty i 14.5% głosów. W obu wypadkach jest to poważny przyrost wpływów w porównaniu z wyborami sejmowymi, a tym bardziej w porównaniu z poprzednimi wyborami wojewódzkimi, w których LPR nie uczestniczyła a Samoobrona uzyskała śladowe poparcie.

W miastach wojewódzkich (wliczając w to "drugie stolice" Toruń i Gorzów Wielkopolski) sytuacja jest o tyle inna, że ani PSL ani Samoobrona nie mają w nich większych wpływów. Wyjątkiem jest Łódź, gdzie Samoobrona zdobyła 6 mandatów (na 43). Koalicja SLD-UP zdobyła w miastach wojewódzkich 39% mandatów, ale prawica (to jest LPR oraz koalicja PO-PiS łącznie) zdobyła 30.5% mandatów, a 28.7% mandatów przypadło lokalnym komitetom wyborczym, politycznie bliższym prawicy niż lewicowej koalicji. W konsekwencji koalicja SLD-UP może liczyć na większość jedynie w radach miejskich Bydgoszczy, Gorzowa Wielkopolskiego, Olsztyna i Zielonej Góry, a także na połowę głosów w radzie Kielc. We wszystkich pozostałych miastach wojewódzkich większość mają partie prawicowe.

Ten niekorzystny dla lewicy obraz pogłębiają wyniki wyborów prezydentów miast wojewódzkich. W dwóch (Katowice i Opole) kandydaci prawicowi zapewnili sobie zwycięstwo już w pierwszej turze. W drugiej turze w większości miast wojewódzkich wygrali kandydaci prawicy, w tym w takich tradycyjnych bastionach lewicy jak Łódź, Bydgoszcz i Zielona Góra. Kandydaci koalicji SLD-UP zostali prezydentami w pięciu miastach wojewódzkich: Gorzowie Wielkopolskim (tu już w pierwszej turze wygrał dotychczasowy prezydent Tadeusz Jędrzejczak), Krakowie, Olsztynie i Rzeszowie; nadto w Toruniu prezydentem został lewicowy działacz samorządowy Michał Zaleski, który przed rokiem wystąpił z klubu radnych SLD, ale został w drugiej turze poparty przez SLD i UP. Sukces lewicowych kandydatów w Krakowie (Jacek Majchrowski) i Rzeszowie (Tadeusz Ferenc) pokazał, że bardzo dobry kandydat potrafi wygrać nawet tam, gdzie prawica zdobywa większość w radzie i gdzie istnieje tradycja rządów prawicowych. Ogólnie jednak można powiedzieć, że koalicja SLD-UP miała trudności ze znalezieniem bardzo dobrych kandydatów na prezydentów miast wojewódzkich. W Poznaniu i Wrocławiu koalicja SLD-UP pośpiesznie szukała ich w kręgu popularnych ludzi kultury, którzy jednak w polityce nie byli znani. To się nie sprawdzało, gdyż prestiż zawodowy nie przekłada się wprost na poparcie polityczne. Kandydat lewicy na prezydenta Warszawy senator Marek Balicki sam zwracał uwagę na to, że jego kampania zaczęła się zbyt późno, gdyż koalicja bardzo długo nie mogła się zdecydować, kogo zaproponować.

Wybory prezydenta Warszawy miały szczególny akcent. To w stolicy starli się dwaj czołowi przywódcy partii prawicowych - Lech Kaczyński i Andrzej Olechowski. Klęska tego drugiego już w pierwszej turze oznacza zapewne koniec ambicji prezydenckich polityka, który dwa lata temu był najsilniejszym kontrkandydatem prezydenta Kwaśniewskiego. Wyborcy warszawscy odrzucili kandydata podkreślającego swój pragmatyzm i brak wyrazistych przekonań politycznych na rzecz dwóch polityków o solidarnościowym rodowodzie, ale dziś reprezentujących otwarcie idee i wartości prawicy (Lech Kaczyński) bądź lewicy (Marek Balicki). Tego ostatniego publicznie poparł przed drugą turą Jacek Kuroń. Nie przeszkodziło to jednak Lechowi Kaczyńskiemu wygrać drugiej tury i to dużą większością (71% głosów)... Czy oznacza to, że stolica wykreowała głównego kandydata prawicy w wyborach prezydenckich 2005 roku? Bardzo to prawdopodobne, ale wiele zależeć będzie od tego, jakim prezydentem Warszawy okaże się Lech Kaczyński, to zaś okazać się może trudniejsze niż wygranie wyborów.

Z wyborów samorządowych płyną wnioski zarówno dla rządzącej koalicji, jak i dla opozycji.

Dla koalicji rządzącej najważniejsze wydają się dwa wnioski. Po pierwsze: SLD i Unia Pracy, choć zachowały mocną pozycję najsilniejszego ugrupowania politycznego w Polsce, utraciły ponad jedną trzecią tego poparcia, które miały rok wcześniej w czasie wyborów do Sejmu i Senatu. Z uwagi na inne systemy wyborcze różnica jest mniejsza w liczbie zdobytych mandatów niż w liczbie uzyskanych głosów, ale to właśnie ta druga wielkość ma szczególne znaczenie dla prognozowania, jak kształtować się będzie sytuacja polityczna w następnych latach. W SLD po wyborach (między innymi na posiedzeniu Rady Krajowej 24 listopada) pojawiły się dwa sposoby wyjaśniania tego wyniku wyborów: albo złą oceną działania rządu, na co kładli nacisk działacze terenowi, albo błędami popełnianymi przez wojewódzkie, powiatowe i gminne ogniwa SLD, co podkreślali członkowie krajowego kierownictwa tej partii. Zapewne i jedni, i drudzy mieli rację. SLD w dużej mierze płaci za to, że nie był w stanie spełnić nadmiernie w czasie poprzedniej kampanii wyborczej rozbudzonych nadziei na szybką poprawę sytuacji gospodarczej. Zarazem jednak widać, że w tej samej sytuacji politycznej lewica wygrywała wybory tam, gdzie miała lepszych kandydatów i

występowała w sposób zwarty, bez - częstych w wielu województwach i powiatach - waśni personalnych i grupowych. W każdym razie dla SLD wybory stały się wyznacznikiem, że konieczna jest krytyczna ocena i rewizja dotychczasowego sposobu działania.

Drugim wnioskiem dla koalicji rządzącej jest osłabienie PSL, co potęguje w jego szeregach skłonność do przesuwania się ku partiom prawicy. Najbardziej jaskrawym tego przykładem była zmiana przez PSL sojuszy w województwie mazowieckim, gdzie w poprzedniej koalicji stronnictwo rządziło razem z SLD, a obecnie weszło w koalicję z Prawem i Sprawiedliwością, Liga Polskich Rodzin i Platformą Obywatelską. Może to sygnalizować załamanie się koalicji rządowej, zwłaszcza w wypadku zaostrzenia sporu między SLD i PSL w sprawie wejścia Polski do Unii Europejskiej.

Dla umiarkowanej prawicy z wyborów samorządowych płyną niepokojące wnioski. Koalicja Platformy Obywatelskiej i Prawa i Sprawiedliwości uzyskała mniej głosów niż partie te zdobyły idąc oddzielnie w wyborach 2001 roku. Unia Wolności coraz bardziej pogrąża się w politycznym niebycie³. Taka ewolucja układu sił, w której traci rządząca koalicja, ale umiarkowana opozycja nie wzmacnia się, jest dla tej ostatniej szczególnie niebezpieczny, gdyż może prowadzić do tego, że za trzy lata - lub wcześniej - wyborcy staną przed wyborem między SLD a populistycznymi partiami antyeuropejskimi.

To te partie są zwycięzcą tegorocznych wyborów samorządowych. Najważniejszym politycznym wnioskiem z tych wyborów jest sukces Samoobrony i Ligi Polskich Rodzin. Wprawdzie poparcie dla nich nie jest, jak dotąd, dostatecznie duże, by zagrozić mogło wynikowi referendum akcesyjnego, ale trzeba z niepokojem obserwować tendencję wzrostu ich wpływów. Sondaż preferencji wyborczych przeprowadzony przez Demoskop w listopadzie br. dał następujący obraz deklarowanych preferencji w wyborach sejmowych: SLD-UP 36%, PiS 15%, Samoobrona 12%, LPR 10%, PSL 19%, PO 9%, UW 3% (to jest nadal poniżej progu wymaganego dla wejścia do Sejmu)⁴. Podobny wynik uzyskała Pracownia Badań Społecznych: SLD-UP 37%, Samoobrona 14%, PiS 13%, LPR 11 %, PSL 9%, PO 7%⁵. Na uwagę w tych sondażach zasługuje to, że koalicja SLD-UP ma w nich większe poparcie niż w wyborach do sejmików, zaś partie populistycznego protestu - nieco mniejsze.. Może to być wynikiem powyborczej refleksji części wyborców lewicowych, ale może także być błędem sondaży.

Wzrost wpływów LPR stawia przed umiarkowanymi partiami prawicy - PO i PiS - zasadnicze pytanie o to, z kim chcą iść. Bezpośrednio po wyborach przewodniczący klubu poselskiego Platformy Obywatelskiej Maciej Płażyński oświadczył, że jego partia w żadne koalicje z SLD nie będzie wchodziła. Jest to nowe stanowisko, gdyż w poprzedniej kadencji taka koalicja istniała w Warszawie i nie wywoływała sprzeciwu centralnych władz PO. Podobnie nie życzy sobie koalicji z lewicą. Prawo i Sprawiedliwość. Oznacza to więc gotowość do koalicji z LPR, co dochodzi do skutku w tych województwach, gdzie partie prawicowe mogą stworzyć większościową koalicję. Rzecz jednak w tym, że LPR nie jest już marginalnym ugrupowaniem skrajnej prawicy, jakim była jeszcze przed rokiem. Przez ten rok LPR niemal podwoiła swoje poparcie wyborcze i uzyskała wynik tylko o dwa punkty procentowe gorszy niż wynik koalicji PO-PiS.

³ Wystąpienie z UW Tadeusza Mazowieckiego jest symptomem tego procesu, jak i konsekwencją wchodzenia przez część działaczy Unii Wolności w porozumienie nie tylko z SLD, ale także z Samoobroną (w woj. warmińsko-mazurskim).

⁴ «Newsweek Polska» z 8 grudnia 2002.

⁵ «Rzeczpospolita» z 8 listopada 2002.

Z drugiej strony sukcesy Samoobrony stawiają przed koalicją SLD-UP dwa strategiczne pytania. Pierwsze dotyczy tworzenia koalicji wojewódzkich i powiatowych z udziałem Samoobrony. Takie koalicje powstają i w warunkach pryncypialnego odrzucania możliwości współpracy z SLD ze strony polityków PO i PiS, a także osłabienia PSL, są po prostu nieuchronne, jeśli władze samorządowe nie mają zostać sparaliżowane. Z arytmetyki wynika, że w większości sejmików tak zwane "minimalne koalicje" (to jest koalicje złożone z najmniejszej dającej większość liczby podmiotów) mogą być zawiązane przez SLD-UP i Samoobronę a zarazem, że dotychczasowe koalicje SLD-PSL nigdzie (poza woj. świętokrzyskim) nie wystarczają do stworzenia większości. Politycy SLD zachęcali do otwartości w szukaniu partnerów i wyrażali nadzieję na powstanie koalicji partii połączonych podobnym stanowiskiem w sprawie Unii Europejskiej. Jednak wobec uporu partii prawicy koalicji SLD-UP w większości województw nie pozostaje nic innego jak porozumienie z Samoobroną. Trzeba jednak pamiętać, że partie lewicy mając w takich koalicjach większość odpowiedzialne są za to, by Samoobrona nie spychała sejmików w stronę populistycznej polityki. Zawierając porozumienie z Samoobroną SLD podejmuje ryzyko licząc na to, że w samorządach Samoobrona zachowywać się będzie inaczej niż w Sejmie. Nie wiadomo, czy ta nadzieja się spełni.

Pytanie jeszcze ważniejsze dotyczy generalnej linii postępowania koalicji SLD-UP i stworzonego przez te partie, wraz z PSL, rządu. Poparcie dla Samoobrony rośnie obecnie bardziej kosztem SLD niż kosztem PSL. Sojusz prowadzi politykę odpowiedzialną i jest gotów nawet narażać się wyborcom, jeśli jest to niezbędne dla ratowania finansów publicznych. Gdyby jednak koalicja SLD-UP nadal traciła wyborców, a nawet gdyby jedynie nie zdołała odzyskać utraconych, zanim dojdzie do następnych wyborów parlamentarnych, realne stać by się musiało albo utracenie przez lewicę władzy, albo konieczność budowania jakiejś "wielkiej koalicji" lewicowo-prawicowej dla zagrozenia drogi radykalnie populistycznym i antyeuropejskim partiom skrajnym. Nie jest jednak pewne, czy w takiej sytuacji politycy prawicy zdecydowałiby się na "wielką koalicję". Wybór mógłby więc przybrać taką postać, jak obecnie w wielu sejmikach: albo paraliż ciała przedstawicielskiego, albo koalicja SLD-UP i Samoobrony. Wobec radykalnie populistycznej i antyeuropejskiej polityki Samoobrony, taki wybór byłby dla Polski nieszczęściem. Może temu zapobiec taka strategia obozu rządzącego, która z jednej strony odbuduje poparcie polityczne lewicy, a z drugiej otworzy drogę do porozumienia sił zainteresowanych w kontynuacji reform i w umacnianiu miejsca Polski w Unii Europejskiej.

Na taki powyborczy "krajobraz po bitwie" nakładają się dwa problemy. Pierwszym jest coraz wyraźniejsza polaryzacja wokół zbliżającego się referendum akcesyjnego. Staną w nim po jednej stronie partie proeuropejskie - SLD, UP, PO i UW, a z drugiej partie przeciwnie wejściu Polski do Unii Europejskiej - LPR i Samoobrona. PSL i PiS wysyłają sygnały niejednoznaczne, więc nie można wykluczyć, że opowiedzą się przeciw wejściu do UE. Zwłaszcza politycy PiS mogą mieć trudności z ustaleniem strategii, gdyż wśród wyborców tej partii zdecydowanie przeważają zwolennicy integracji. Stanowisko Episkopatu Polski i osobiście Jana Pawła II może komplikować sytuację tych polityków prawicy, którzy deklarują swój katolicyzm a zarazem są "eurosceptyczni". Wszystko to będzie zapewne miało wpływ na wynik referendum. Sondáže opinii wskazują na to, że większość wyborców poprze traktat akcesyjny⁶, ale

⁶ Sondaż CBOS z 29 listopada - 2 grudnia 2002 («Gazeta Wyborcza» z 10 grudnia 2002) wskazuje na pewne osłabienie poparcia dla integracji europejskiej. Zamiar udziału w referendum deklarowało 67 % badanych, to jest o 3 % mniej niż miesiąc wcześniej. Z zamierzających głosować 67% deklarowało zamiar głosowania "tak" (o 6% mniej niż przed miesiącem), a 22% - zamiar głosowania "nie". Wśród wszystkich badanych (także deklarujących, że nie wezmą udziału w referendum) zwolennicy wejścia Polski do Unii stanowili 59%, a przeciwnicy 24% (reszta to niezdecydowani).

zapewne będzie to słabsza większość niż przewidywana w sondażach. Starcie dwóch tendencji w tak ważnej dla przyszłości sprawie może - choć nie musi - określić, jak przebiegać będzie podstawowy podział polityczny w następnych latach.

Drugim problemem jest wzrost protestu społecznego. Nie tylko rolnicy protestują przeciw polityce rządu. W ostatnich miesiącach protest robotniczy - w Szczecinie, Ożarowie, na Śląsku - przybrał niepokojąco radykalne formy. Rząd stoi przed trudnym dylematem. Nie może bez końca kupować spokoju społecznego za cenę ustępstw opóźniających restrukturyzację szczególnie nierentownych gałęzi gospodarki (stocznie, kopalnie) czy za cenę obciążania budżetu rosnącymi dopłatami socjalnymi. Nie może jednak dopuścić do tego, by protest społeczny przerwał tamy i doprowadził do rozruchów. Konieczna jest energiczna polityka społeczna a także taka polityka gospodarcza, która bardziej sprawiedliwie rozkładać będzie nieuchronne koszty przemian gospodarczych. Wielu ekonomistów, socjologów i polityków społecznych sygnalizowało ten problem od dawna. Nadszedł czas, kiedy sygnały te nie mogą już dłużej być ignorowane.

Oba te problemy są wzajemnie powiązane, gdyż wejście do Unii Europejskiej jest warunkiem stopniowego przezwyciężania trudnej sytuacji gospodarczo społecznej, zarazem zaś silny protest społeczny może pokrzyżować plany integracyjne. Polska weszła w bardzo trudny i ważny dla jej przyszłości okres, co wybory samorządowe wyraźnie ukazały.